

# Osmolak, Marian

---

## Dlaczego ja, harcerz z Gostynina, brałem udział w Powstaniu Warszawskim

---

Przegląd Pruszkowski nr 2, 61-72

---

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

**Marian Osmolak**  
Żołnierz Szarych Szeregów

## Dlaczego ja, harcerz z Gostynina, brałem udział w Powstaniu Warszawskim

### Część druga – Stalag

Doszliśmy do obozu – na teren weszliśmy przez bramę – wprowadzono nas do jakiegoś pomieszczenia, ogolono i wykąpano. Oficerów i podoficerów skierowano do oflagu, nas, szeregowców, podzielono na kompanie, dowódcą był kapral lub sierżant. Zaczęło się obozowe, jenieckie życie.

Rano pobudka, apel, sprawdzanie obecności, śniadanie, no i ... swobodne, pełne nudy, dni... O ucieczce nie było mowy, ponieważ obóz był pilnowany.

W rozmowach, które prowadziliśmy, wszyscy odradzali próby ucieczki – zdawaliśmy sobie sprawę, że wojna się kończy, nie warto więc narażać się na utratę życia.

Wyżywienie było bardzo skromne, od głodu ratowały nas dary Czerwonego Krzyża.

Po pewnym czasie życie obozowe zaczęło się zmieniać – zaczęto nas wywozić do prac rolnych. Nie narzekaliśmy – nareszcie skończyła się nuda – przywoziliśmy do obozu wiele produktów żywnościowych, a przede wszystkim mogliśmy dowiedzieć się o klęsce wojsk niemieckich na frontach wschodnim i zachodnim.

Do prac nie brano oficerów, oni jednak często zgłaszali się sami. Były też organizowane wyjazdy do bombardowanego Hamburga

w celu niesienia pomocy cywilnej ludności. W jednej takiej akcji zginął nasz kolega – powstaniec warszawski.

Ja miałem wyjątkowe szczęście – wziął mnie na swoje gospodarstwo pan Gawer. Od połowy listopada za zgodą komendanta obozu i dowódcy kompanii zamieszkałem na stałe w ich gospodarstwie. Państwo Gawerowie mieli dwóch synów – jeden zginął pod Stalingradem, o drugim nie mieli żadnych wiadomości.

Żona pana Gawera wyraziła zgodę na mój pobyt na stałe u nich – zauważyłem jednak u niej jakiś niepokój czy niechęć – nie wiem. Nie powiedziała nic. Zacząłem więc pracę, do której byłem przyzwyczajony: z gospodynią przygotowywałem paszę dla prosiaczka, wybierałem jaja z kurzych gniazd – udało mi się znaleźć na tym dużym gospodarstwie nowe gniazda, w których kury składały jajka.

Wyżywienie było wspaniałe. Nareszcie byłem najedzony! Wieczorem pokazano mi pokój – dostałem piżamę, koszulę, ubranie – były to rzeczy syna Kurta, który zginął.

Rano wstałem wypoczęty – mieliśmy jechać traktorem do obozu. Gospodarz kazał mi naszykować ziemniaki, marchew, gospodyni przygotowała mąkę dla komendanta obozu.

W obozie wśród więźniów panował dobry nastój, koledzy opowiadali, że wojna zbliża się ku końcowi, że wojska z zachodu prą do przodu – postanowiłem słuchać radia z gospodarzem. Okazało się, że pan Gawer słuchał nie tylko stacji niemieckich, ale i radia londyńskiego po polsku. Był ostrożny – obchodził ze mną gospodarstwo i zostawiał uchylone drzwi, by widzieć drogę.

Gospodarz mówił o coraz większych nalotach na Hamburg. Zresztą było słychać. Myślałem: „to za Warszawę”.

Coraz więcej samochodów wojskowych przejeżdżało przez wieś.

Gospodarz nauczył mnie obsługi traktora. Najtrudniej było mi rozruszać tego „kolosa” – trzeba było wyjąć kierownicę, włożyć ją w środek osi koła zamachowego, podgrzać tak zwaną gruszkę lampą i rozbijać koło zamachowe tą kierownicą, aż zaskoczy. Po wielu próbach udawało mi się ruszyć traktorem. Gdy nauczyłem

się obsługiwać traktor, do obozu po odpady kuchenne jeździłem sam. Komendantowi doręczałem „wałówkę” od gospodarzy, a jajka z dzikich gniazd pozwoliła mi gospodyni dawać kolegom – zawsze oddawałem je swojemu dowódcy kompanii, a on je rozdawał.

Dni płynęły mi szybko – pracowałem, a u moich gospodarzy było mi dobrze.

Zima zbliżała się szybko, trzeba było zakopcować większą część ziemniaków i jarzyn, a część zostawić w poddomowej piwnicy do bezpośredniego spożycia. Zastanawiałem się, jak długo będę w Niemczech. Tęskniłem za rodzicami, domem...

Pewnego dnia, gdy słuchaliśmy radia, przed domem stanął samochód – gdy żołnierz niemiecki wyszedł z samochodu, gospodarz poprosił, bym otworzył furtkę.

Żołnierz podał mi list, sądząc, że jestem synem gospodarzy oznajmił, że jest to list od brata. Radość była wielka. Okazało się, że syn gospodarzy żyje, jest ranny w nogę, leży w szpitalu, w Hanowerze.

Gospodarz przygotował się do wyjazdu po syna. Żołnierze, wracający znad Odry, zabrali mego gospodarza do Hanoweru. Zostałem sam z gospodynią. Pan Gawer ostrzegł mnie, bym nie słuchał radia, nie jeździł sam do obozu, bym wykonywał tylko polecenia gospodyni.

Po trzech dniach przed naszym domem zatrzymał się, tak bardzo oczekiwany, samochód. Z szoferki, przy pomocy żołnierza, podpierając się kulami, wyszedł młody mężczyzna, a za nim mój gospodarz.

Pobiegłem otworzyć furtkę – moja gospodyni szczęśliwa mogła uściskać swego syna.

W mieszkaniu, po radosnym przywitaniu, przedstawiono nas sobie. Pan Gawer powiedział wesoło: „to są dwaj żołnierze – niemiecki i polski, Hans i Marian”. Podaliśmy sobie ręce na znak przyjaźni...

Przy obiedzie nie było końca opowiadań, mimo że znałem język niemiecki nie wszystko rozumiałem. Najważniejsze, że nadal będę

traktowany jak członek rodziny. Na moje pytanie, gdzie będę teraz spał, Hans odpowiedział: „zusammen” (razem ze mną).

Po obiedzie wykonałem swoje obowiązki. Wieczorem, jak zwykle, gospodarz obszedł gospodarstwo, następnie otworzył stację berlińską – chwalono się, że obrona Odry jest dobrze przygotowana i nie dopuści do jej przekroczenia. Hans nie wierzył w słowa, które słyszeliśmy. Stwierdził on, że komuniści idą jak burza, a z nimi polscy żołnierze: „obawiam się tylko, co z nami będzie, gdy do nas dojdą” – po tych słowach spojrział pytająco na mnie. Odpowiadając mu, powiedziałem, że wojsko polskie strzelać do cywilów, jak niektórzy żołnierze niemieccy w Warszawie, nie będzie. Jak zachowywać się będą żołnierze rosyjscy, nie wiem.

Następnego dnia była niedziela. Rano, po śniadaniu, zabrałem się do pracy – wydołem krowy, dałem im siano, obszedłem gniazda kur, gospodyni przygotowała ciasto na chleb. Chleb przypominał mi dom – babcia zawsze sama piekła wspaniały.

Po obrządku w gospodarstwie załadowaliśmy ziemniaki na przyczepę, gospodyni, jak zwykle dała pakuneczek dla komendanta, a ja dostałem jajka dla kolegów w obozie. W obozie spotkałem się z komendantem kompanii, zdałem relację, o czym słyszałem w wiadomościach z radia londyńskiego. Wszyscy spodziewamy się końca wojny – według tych wiadomości, które są nadawane, przypuszcza się, że wojna potrwa jeszcze parę miesięcy. Czas, który teraz opisuję, to połowa grudnia. Czekamy na Boże Narodzenie. Ciekawy jestem, jak to wielkie święto będą obchodzić moi gospodarze.

Na razie pracujemy jak zwykle. Hans nie nadaje się do jakiegś pracy. Gospodarze są dla mnie dobrzy. Traktują mnie, jak syna.

Nadszedł dzień Wigilii... Gospodarz przygotował traktor do drogi. Wzięliśmy jak zwykle paczki dla komendanta i moich kolegów. Oprócz jajek, masła (sam je zrobiłem), gospodyni dała święcony chleb, którym mieliśmy się podzielić tak jak opłatkiem.

Dzieląc się chlebem z kolegami, życzyliśmy sobie zdrowia, zakończenia wojny i szybkiego powrotu do Kraju, do rodzin. Śpie-

waliśmy kolędy. Gdy Niemcy usłyszeli „Cichą noc”, przyłączyli się do nas – śpiewali ją w języku niemieckim.

Tego wieczoru usłyszałem kolędę, którą zaśpiewali więźniowie – zostali oni przywiezieni z powstańczego szpitala mieszczącego się w Tworkach. Opowiadali, że kolęda śpiewana na melodię „serca w plecaku” powstała w szpitalu tworkowskim.

Gdy wróciliśmy do domu, zastaliśmy przygotowany stół wigilijny – pierwszy raz byłem w ten dzień na obcej ziemi – na szczęście u przyjaznych mi ludzi. Śpiewaliśmy kolędy po niemiecku, chcieli też posłuchać moich kolęd, zaśpiewałem więc kilka w języku polskim.

Długi był ten wigilijny wieczór. Hans opowiadał o tym, że był w Warszawie. Był wstrząśnięty brutalnością niektórych swoich niemieckich kolegów wobec polskiej ludności cywilnej. Tam, w Warszawie, został ranny i to nie od kuli powstańców, lecz od bomby sztukasa, którą rzucili wcześniej na rozbitą barykadę, na której nie było już powstańców, a oni ją zajęli – wtedy zostało trzech żołnierzy niemieckich rannych, a pięciu zabitych. Hans ma rozbite kolano, lekarze mówią, że będzie miał sztywną nogę, on jednak jest szczęśliwy, że żyje. Ten długi wieczór wigilijny wśród obcych, ale przyjaznych mi ludzi, z dala od Ojczyzny i rodziny, będę pamiętał do końca życia...

Święta Bożego Narodzenia minęły, nadszedł Nowy 1945 Rok.

Niemieckie radio podało, że komuniści rozpoczęli ofensywę zimową, a nasze wojska wycofują się na z góry przygotowane stanowiska (sic!) do odparcia ataku na Odrze. W gospodarstwie pana Gawera nic się nie zmieniło. Słuchaliśmy wieczorami wiadomości coraz bardziej interesujących, tym bardziej, że przez wieś przejeżdżało coraz więcej samochodów z różnym sprzętem – podobno na front.

Dnia 17 stycznia dowiedzieliśmy się, że Warszawa jest wyzwolona z rąk niemieckich, wkrótce zdobyty był Poznań – armia niemiecka wycofywała się szybko – my, Polacy, czekaliśmy na obczyźnie, by wrócić do swoich domów.

Podczas bombardowania Hamburga niemiecka artyleria strąciła jeden samolot. Skoczek z tego samolotu, niesiony wiatrem, wylądował niedaleko obozu. Okazało się, że to Polak. Komendant obozu oddał go pod opiekę komendanta polskiej kompanii. Dostał ubranie, takie jakie nosili więźniowie – w razie kontroli miał stanąć razem z kompanią.

Obstawa niemiecka otrzymała instrukcje, jak ma się zachować w razie kontroli.

Okazało się, że zestrzelono dwa samoloty i szukano skoczków. Władze zwróciły się do ludności cywilnej o pomoc w poszukiwaniu tych „bandytów”, którzy bombardują ludność cywilną. Wydawało mi się to bardzo cyniczne, zważywszy, jak zachowywali się niemieccy żołnierze u nas.

Po kilku dniach do moich gospodarzy przyjechali żołnierze na motocyklu – nie wiem, o czym rozmawiali – potem pojechali w stronę obozu.

Według gospodarza, który słuchał radia, koniec wojny zbliżał się szybko. Ciągłe widzieliśmy samochody z czerwonym krzyżem, a nawet oddziały piechoty rannych żołnierzy. Pomyślałem: to odwrót. Gospodarz przypuszczał, że przyjdą do nas armie zachodnie – może wśród nich Polacy.

Tymczasem kończył się marzec. Gospodarz przypiął pług tryskibowy i mówi: „Będziemy orać ziemię, przygotować się do prac wiosennych, przy okazji nauczysz się i ty to robić”. Ja jednak nie myślałem być gospodarzem, gdy wojna się skończy, pragnąłem wrócić do domu – tam czekała moja mama – moje rodzeństwo było wywiezione na roboty do Niemiec, a ja przepadłem, mimo że miałem po tygodniu wrócić z urlopu...

Moim pragnieniem jest więc, by wojna skończyła się jak najszybciej, bym mógł wrócić do Polski, do Gostynina. Często nie mogłem zasnąć, marząc o moim rodzinnym domu i myśląc, by nic złego się nie stało.

Pewnego dnia o pogodnym poranku, gdy moje myśli przy pracy skierowałem znów na marzenia o swym domu, pojechałem do

obożu. Zastałem tam inną sytuację, niż zwykle – wszyscy są na zewnątrz, a wśród nich jacyś obcy żołnierze – byli to Rosjanie, a wśród nich Polacy.

Mnie chcieli zatrzymać, ale po wyjaśnieniu, że jestem też jeńcem i powstańcem, pozwolili mi wrócić do gospodarza. Na razie nie radzili nam wracać do Polski, ponieważ byłoby to niebezpieczne z powodu „grasujących” na drogach oddziałów niemieckich.

Po tygodniu miałem się stawić w obozie, by wspólnie postanowić o naszym dalszym losie.

W wiosce był duży ruch, pełno wojska – patrol mnie zatrzymuje i jeden z żołnierzy krzyczy: „hande hoch!”. Zeskoczyłem z traktora i powiedziałem: „przyjemniej by mi było usłyszeć: ręce do góry” – rzuciłem się w ramiona jednemu z żołnierzy i ze łzami radości w oczach, powiedziałem: „nareszcie jesteście”.

Gdy wróciłem do domu i siadaliśmy do obiadu, usłyszeliśmy stukanie do drzwi. Okazało się, że to byli żołnierze polscy w mundurach rosyjskich. Prosimi o wodę do picia, bo byli bardzo utrudzeni. Gospodarze poczęstowali ich mlekiem i chlebem. Okazało się, że jeden z żołnierzy był porucznikiem – jego kompania poszła uwolnić obóz jeniecki, a następnie przyjść na wieś, by tu odpocząć po ciężkich walkach na Odrze. Ja opowiedziałem swoje dzieje. Powiedziałem też o obu synach gospodarzy i o tym, jak byłem traktowany w ich domu.

Nazajutrz, był to chyba 2 kwietnia 1945 roku, przybyła do wsi kompania, a z nią wielu żołnierzy – powstańców Warszawy, którzy wstąpili w szeregi Wojska Polskiego.

Po jednodniowym odpoczynku komisja poborowa przeprowadziła badania lekarskie wśród kandydatów do wojska. Byli wśród nich oficerowie wojska polskiego z 1939 roku, byli żołnierze z Armii Krajowej i Szarych Szeregów. Najmłodszych, trzynasto- i czternasto-latków postanowiono odesłać do domów.

Niektórzy oficerowie z 1939 roku pragnęli przedostać się do armii polskiej, walczącej na Zachodzie.



Stałem i ja przed komisją. Nie znałem się na polityce. Pragnąłem się znaleźć jak najszybciej w domu. Pragnąłem jednak walczyć, zdobywać Berlin... Stałem więc przed komisją, powiedziałem, że mam 16 lat, że nikt mnie nie oczekuje i że chcę z wojskiem iść na Berlin. Porucznik z AK poparł mnie: „to wspaniały zwiadowca” – powiedział – „obracał się wśród żołnierzy niemieckich i bardzo nam pomagał w obozie, dostarczając nie tylko jedzenie, ale i wiadomości”.

Zostałem zwiadowcą – synem pułku. Dostałem mundur.

Pożegnałem się z niemiecką rodziną – było ono wzruszające. Gospodarz powiedział, bym wracał po zakończeniu wojny. Gospodarstwo podzielił na nas dwóch – Hansa i mnie.

Wróciłem do swoich...

Aż tu nagle w czasie przeglądu stanu kampanii, jej dowódca, spojrzawszy na mnie, mówi: „szeregowy wystąp!”, a kapitan pyta: „co wy tu robicie?” – chciałem odpowiedzieć, że stoję w szeregu, jak widać, zreflektowałem się jednak i odpowiedziałem: „stałem na apelu wedle rozkazu, panie kapitanie”, poprawił mnie: „obywatelu”. Gdy kapitan dowiedział się, że jestem przydzielony do plutonu zwiadu, kazał mi wrócić do szeregu.

Do wsi przybywali nowi żołnierze – gdy na miejsce przybył cały pułk, mieliśmy ruszyć do walki z lewego skrzydła z Rosjanami. Tak stałem się żołnierzem Ludowego Wojska Polskiego (nie rozumiałem, dlaczego to jest wojsko „Ludowe”, ani tego, dlaczego trzeba mówić „obywatelu”). Byłem jednak dumny.

W czasie Powstania byłem tylko opiekunem matek z małymi dziećmi, a w Niemczech pracowałem w gospodarstwie. Nie powinienem narzekać – przecież przeżyłem, nie cierpiałem tak jak inni, nie byłem ranny.

Rano wyruszyliśmy na front, Po kilku kilometrach samochody, kompanie i plutony zatrzymały się, ponieważ gdzieś, w następnej wsi, było słychać strzały. Kapitan wydał rozkaz, by dowódca zwiadu zebrał drużynę, która sprawdzi sytuację.

Zgłosiłem się – było nas ośmiu.

Gdy na dworze zaczęło robić się szaro, ruszyliśmy na zwiady. Szliśmy bardzo ostrożnie, czasami nawet czołgając się.

Podszedłem do domu, z którego dochodziły głosy. Wśród nich, wydawało mi się, że rozpoznaję głos komendanta obozu. Jakaś kobieta przekonywała, by nie zmuszać do opuszczania domostwa – co ma być, to będzie – mówiła.

Przekazałem kolegom umówionym znakiem, że mogą podejść, ponieważ nie ma wojska.

Po krótkiej rozmowie zdecydowaliśmy, że zastukam do drzwi – gdy otworzą, wejść. Gdy wszedłem, zażądałem zwrotu broni. Uczestnicy zwiadu odebrali złożoną broń. Komendant obozu prosił, by tych starszych mężczyzn, którzy byli przymusowo wcieleni do Wehrmachtu, nie brać do niewoli. Byli strażą obozową, a mieszkali na wsi. Plutonowy zgodził się, by poszli do swoich mieszkań – przebrali się w ubrania cywilne i pozwolono im iść do domów.

Oni pomogli nam obejść i zająć wieś. Mnie plutonowy wysłał z wiadomością do kompanii, że droga wolna – wojska niemieckie w pośpiechu zostały skierowane w kierunku Berlina.

Komendant byłego obozu miał wiadomości o rozmieszczeniu wojsk niemieckich na pewnym odcinku przed Berlinem. Dowódca na rozmowę z komendantem zabrał mnie, ponieważ tylko ja znałem język niemiecki. Naszemu dowódcy powiedziałem, że komendant obozu był przyzwoitym człowiekiem wobec więźniów. Został on odesłany na tyły.

Nasze wojsko zostało skierowane na Berlin. Mnie wysłano do kuchni – mój dowódca nie pozwolił wysłać mnie na zwiady twierdząc, że jest to niebezpieczne.

Przydzielił mnie do kuchni – była to, jak twierdził, bardzo ważna funkcja – przygotowywać jedzenie dla wojska, dostarczać je bezpiecznie w całych termosach do okopów.

Z żołnierzy obozu jenieckiego, przede wszystkim z powstańców warszawskich, sformowano specjalną kompanię, wyposażoną w broń automatyczną, by skutecznie walczyć na ulicach miast między domami. Przypadkiem dowiedziałem się, że powstańcy

są bardziej cenieni w walkach w mieście niż żołnierze frontowi.

Wolno posuwaliśmy się w stronę Berlina. Po drodze przeżyliśmy małe potyczki z niedobitkami – otrzymałem pepeszę i nauczono mnie ją obsługiwać.

Pluton pomocniczy, a z nim i mnie pozostawiono na tyłach.

Pewnego dnia, o zmierzchu, zauważyłem jakiś ruch, dałem znak, a sam podczołgałem się w kierunku skąd usłyszałem jakieś głosy. Zobaczyłem kilka postaci zbliżających się w naszym kierunku.

Okazało się, że dwudziestopięcioosobowy oddział niemiecki chciał się przedostać do miasta. Wśród nich było trzech oficerów i pięciu podoficerów.

Następnego dnia wojska polskie i sowieckie poszły w bój o Berlin, my z plutonem pomocniczym zostaliśmy na tyłach gotując obiady i śniadania.

Słyszeliśmy strzelaninę z karabinów maszynowych, artylerię, a także świst spadających bomb. W nocy widzieliśmy pożary. Nie współczułem. „To za Warszawę, bijcie chłopcy, – myślałem. Były to ciężkie boje i wiele przelanej krwi... ”

Nareszcie usłyszeliśmy: „Reichstag zdobyty”, to koniec wojny.

Otrzymałem rozkaz, by wraz z kuchnią przybyć do centrum Berlina. Obstąpili nas Polacy. Kucharz wyjął chochlę i rozdawał grochówkę z dużą ilością mięsa – mieliśmy krowę, którą ugodził pocisk.

Mimo że walki zostały zakończone, słychać było gdzieś strzały. Mój plutonowy został ugodzony zabłąkanym pociskiem w głowę – zginął już po zakończeniu działań wojennych.

Byłem pewien, że nadszedł czas powrotu do domu. Zanim do tego doszło, ogłoszono zbiórkę i pojechaliśmy do centrum Berlina. Miasto było bardzo zniszczone – wszędzie gruzy, dopalające się domy...

Wjechaliśmy w dość szeroką ulicę – na ścianie częściowo zburzonego domu widniał napis „Unter den Linden Strasse” – dojechaliśmy do bramy Brandenburskiej. Wysiedliśmy.

Podeszliśmy bliżej – rzeźby koni – niektóre zniszczone – w głębi Reichstag, a na nim zatknięte flagi: polska i radziecka.

Kapitan skomentował: to zostało po faszystowskich Niemczech. Hitler podobno zastrzelił się, a jego ciało spalili podwładni.

Pod wieczór, po defiladzie wróciliśmy na miejsce postoju za miasto.

Rano, po śniadaniu, wraz z innymi żołnierzami zostałem zdemobilizowany i otrzymałem rozkaz powrotu do cywila. Zaopatrzone nas w prowiant na drogę i przewieziono samochodami do Warszawy.

Życie w Warszawie wraca do normy. Kwitnie handel... Widzę na straganach nawet kwiaty... Słyszę „Piosenkę o mojej Warszawie”... Nie mam pieniędzy, nic nie mogę kupić – nie mam co sprzedać – a przecież chcę się dostać do Milanówka. Na szczęście jakiś porządny kierowca podwiózł mnie darmo do siostry. Ucieszyła się, że żyję – nie miała przecież żadnej wiadomości o mnie. Włodek był w domu. Okazało się, że udało mu się uciec z transportu.

Chciałem jak najszybciej wyjechać do Gostynina. Siostra dała mi pieniądze na drogę. Jechałem przez Skierniewice, Kutno. Podróż była długa, bo pierwszeństwo miały transporty wojskowe.

Nocą 2 czerwca 1945 roku zastukałem do swojego domu...

## Z a k o ń c z e n i e

Rano, po śniadaniu ubrałem się w mundur Ludowego Wojska Polskiego i dumny ruszyłem na spacer po mieście. Spotkałem kolegów, opowiadałem im o tym, co przeżyłem w Powstaniu, a potem w obozie. Podszedł do mnie jakiś starszy pan i zwrócił się do mnie: „wstąp do nas na ul. Daszyńskiego 8 m. 4” . Nie znałem go. Po obiedzie, nic nie mówiąc w domu, poszedłem pod wskazany adres. Nieznajomy zaprowadził mnie do piwnicy, w której siedziało trzech mężczyzn. Kazali mi wstać i odczytali: „Jesteś posądzony o zdradę przysięgi Armii Krajowej”. Odpowiedziałem, że takiej przysięgi nie składałem, jedynie przyrzeczenie harcerskie. Byłem przerażony. Nagle otworzyły się drzwi – ktoś wszedł – gdy się odwróciłem,

zobaczyłem brata, tego, który ostrzegał mnie, gdy jechałem z mel-dunkiem do Warszawy. Byłem wyratowany... Złapał mnie w objęcia i powiedział: „zmiataj do domu, zdejmij ten mundur i zgłoś się do Komendy Hufca, tam oczekuje Ciebie komendant”.

Byłem uratowany! W hufcu otrzymałem tymczasową legitymację nr 3, z odciskiem palca zamiast zdjęcia (nie miałem żadnego). Przydzielony zostałem do wodnej drużyny 169 jako zastępowy zastępu próbnego. Drużynowym moim był Marian Rojewski.

Wyjeżdżaliśmy na obozy, najczęściej do Łącka. Mieliśmy czasami gości.

Do Gostynina przyjechała na obóz drużyna harcerek z Pruszkowa. Mój zastęp przydzielony został do przygotowania terenu nad jeziorem Kotłem. Teren ten podobał się bardzo harcerkom. Wciągnęły, zwyczajem harcerskim flagę na maszt, następnego dnia zaprosiły nas na obiad i na ognisko. Śpiewaliśmy piosenki harcerskie. Gdy śpiewaliśmy: „...gdy głos trąbki do odwrotu wzywa...”, zagrałem na trąbce sygnał...

Dlaczego o tym napisałem? Może dlatego, że od wielu lat mieszkam w Pruszkowie, a ta grupa młodych dziewcząt była pierwszym moim kontaktem z tym miastem. Może dlatego trąbkę, na której grałem, oddałem do filii Muzeum Harcerstwa, która mieści się w Pruszkowie.

Musiałem pożegnać się z Hufcem, ponieważ postanowiłem skończyć szkołę. Komendant zezwolił na urlop. Żegnając się ze mną, odkręcił swój krzyż harcerski z najwyższym stopniem tj. H.R. – Harcerz Rzeczypospolitej, i wręczając mi go, powiedział:

„To za dobre wykonanie polecenia i przyrzeczenia harcerskiego”. Podziękowałem.

Pożegnaliśmy się pięknym przesłaniem harcerskim: „czuwaj!”  
Zacząłem nowe życie w szkole...